



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
 We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
 po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
 kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.
 Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
 Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
 kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
 wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
 W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

W symfonii wiosny Maj wydaje się jak *Scherzo* ulotne, w którym chóry kwiatów opiewają wonią, jakąś tajemniczą muzykę, niby pieśń Schumanna; zefiry, słowiki i skowronki, roje brzęczących muszek nad strumieniem.—Łączą się w dziwne *Rondo Capricioso*, którego i Mendelssohn mógłby pozazdrościć; a wieczorne ligawki i dalekie, smętne jakieś odgłosy, niby westchnienia rozmarzonej natury, płyną po rosie, jak tęskne *Nocturny* Szopena.

A przecież jest w tem wszystkim jakaś odrębna oryginalność i harmonia, której nikt uchwycić, nikt naśladować nie zdoła; jest jakaś potęga twórczości, co w szmerze budzących się liści majowego poranku — silnie przemawia do duszy prostaczey, niż wszystkie natchnienia muzyków starszej i nowszej szkoły; jest jakiś czar, co chwytą za serce, jeśli ono tylko jeszcze nie wyschło i nie zdrętwiało w piersi ludzkiej.

Od najdawniejszych czasów poezya dopatrywała się podobieństwa wiosny z młodością, widziała między niemi jakąś wspólność, jakieś pokrewieństwo; w zachwycie i upojeniu wiosennem technieniem woła poeta: *O gioventù, primavera dell' vita, — o primavera, gioventù del anno!*...

Wszelako nietylko sama przenośnia, nietylko fantazyja poetycka stanowi wartość tego porównania: znaleźć w niem można o wiele poważniejszą zasadę i wskazówkę. Młodość jeżeli jest wiosną życia, to powinna być taką, jak prawdziwa wiosna w naturze: powinna mieć swoje kwiaty, swoją świeżość, swoje pieśni słowicze swoje słońce — wysoko na niezachmurzonym niebie, czyste, wonne

technienia, nie skażone jeszcze, nie zepsute — tęsknotę ligawki pod emmentarzem ojców...

Myśli-skowronki niech pod niebo lecą,
 Czucia-słowiki niechaj w piersi grają,
 Kwiaty-marzenia niech jak gwiazdy świecą,
 Tęskne pragnienia w duszy się zrywają!

Niechaj, jak od jesieni kwiatów, od niej owoców zawczasie nikt nie wymaga; niech sztucznych przymozków nie sprowadza, chcąc zwarzyć pierwsze zielone płonki, z obawy, aby zanadto nie wybujały, niechaj wreszcie ta wiosna życia odurza trochę majową wonią. Przyjdzie lato pracy i jesień zawodów: wytrzeźwi, wywietrzy, ostudzi i tak dosyć ze wszystkiego, co nadto było.

Niechże młodość będzie wiosną życia rzeczywistości, a Bóg niech broni tych, co umyślnie jej kwiaty chcą strataować, jej śpiewaków wypłoszyć, jej słońce zaciemnić i ostudzić. *O gioventù, primavera dell' vita!*

Jakby smutno było na ziemi, gdyby tylko dojrzała jesień, bogata i stateczna, zażywna i zasobna, panowała rok cały; jakby smutno było pomiędzy ludźmi, gdyby życia nie rozpoczynała wiosna duszy i serca!...

Ale porzućmy reflexy; niebo się śmieje do ziemi odmłodzonej, odświeżonej, przystrojonej w zieleń murawy i listowia, upiętej w równianki kwiatów, przysłoniętej gazą mgły porannej; śmieje się jak do dziewczyny, co rumieńcem niewinności płonie i o ukochanym marzy, lecz nie miało.

Bociany wróciły na gniazda wśród strzech wieśniaczych i pierwszą burzę przyniosły ze sobą; w polach zasiewy wschodzą, jak nadzieje rolników, resztki naszych lasów szeptać zaczynają na nowo z wiatrami, wysyłając je na zwiady, gdzie tam znowu przetrzebiono nielicznych już ich towarzyszy.

A mogłyby zaraz przy pierwszym oddechu wiosennym westchnąć potężnie nad nieporadnością ludzką i zaślepieniem, jak eśmy to niedawno uczy-

nili, przeczytawszy następującą wiadomość: Pewien obywatel w Płockiem, sprzedał trzy włóki lasu po 4,200 rs. za włókę i zatarł ręce z radości, że taki dobry interes zrobić potrafił; tymczasem nowonabywca na 1½ włóce tylko, sprzedał samego starodrzewu 12,000 sztuk, po 12 rs. za sztukę, i wziął za to 14,400 rs., gdy za całe trzy włóki dał tylko 12,600 rs.

Inny znowu zamożny obywatel miał w swych lasach mnóstwo dębiny, zdatnej na materyał budulcowy, ale nie chciało mu się zajmować samemu tym interesem, żałował kosztów na sprowadzenie technika; więc kupcom odprzedał na oko, sztuka w sztukę po 8 rs. Kiedy później patrzeć musiał, jak topór i siekiera ociosały każdą z nich równiutko, jak je Wisłą spławiać zaczęto, zwiesił głowę i skubał brodę — po szkodzie.

Gdy mówimy o dębach, zaczyna nam w pamięci szumieć godna ich siostrzyca, żałosna lipa, a z nią przypomina się też smutna skarga na obojętność naszego ziemiaństwa, do którego wcale nie przemówiła odezwa licytacyjna o wystawieniu na sprzedaż drogiego zakątka Kochanowskiego. Oto wieś Czarnolas nie może znaleźć nabywcy; żądają tylko 46,064 rs. Ponieważ nikt do licytacji nie stanął, obniżono sumę o kilkanaście tysięcy i odłożono ostateczny termin sprzedaży do 15 Maja r. b.

* * *

Komitet Muzeum Przemysłu i Rolnictwa przypomniał się znowu ogółowi odezwą o przyjęcie udziału w październikowej wystawie, o której pisaliśmy ostatnim razem, wskazując jak ważnem jest to przedsięwzięcie ze względu na nasz przemysł ludowy. O istnieniu tego przemysłu, nawet na obszerną skalę, wątpić nie można, a znaczenia jego lekceważyć niepodobna. Znaleźliśmy w *Gazecie rolniczej*, w korespondencyi z nad Dniepru, niektóre szczegóły o przemysle między Białorusi-

nami. Powtarzamy je tu umyślnie w streszczeniu, aby zwrócić uwagę czyją należy, jak owe kąty nad Dnieprem i Berezyną, z których zdaloby się ściągnąć przynajmniej szczegółowsze wykazy na Wystawę, jeżeli już samych przedmiotów sprowadzić nie będzie można.

Każda niemal wieś w tamtych stronach umiała sobie przyswoić pewien przemysł, specjalnie uprawiany przez wszystkich jej mieszkańców. I tak, jest wieś, w której włościanin, skoro zasieje ozimną, bierze ze sobą strunę barania ze stosownym przyrządem, wędruje od chaty do chaty całą zimę, grempluje wełnę, bije wołki, buty ciepłe (walonkami zwane) i przynosi do domu kilkadziesiąt rubli. Druga wieś—to sami bednarze, w innej—stelmasi. Są i tacy, którzy zakładają fabryki na małą skalę, jak wiatraki hollenderskie, olearnie, krupniarnie, garbarnie i inne.

Niemniej też zajmującą jest wiadomość, iż wsie takie są zamożne, chaty porządne, zwykle pod linię budowane, okna otwierane z okiennicami, dziedziniec zamczystą bramą i furką zamykany.

Jakoś się lepiej robi, czytając takie rzeczy; mimowoli chciałoby się zawołać:

— Bogu chwała, — przecież jeszcze tak źle nie jest!

Już-to sprawiedliwość ludowi naszemu oddać należy, że coraz więcej zasługuje on na zaufanie i szacunek warstw oświeconych; jeżeli tu i owdzie jeszcze nie obudziły się w nim szlachetniejsze instynkta, jeśli nie przejrzał ze wszystkim, to uwzględnić trzeba, że brak mu oświaty, któraby go rozpowiła z krępujących go więzów, wyswobodziła z ciemnoty i zacofania.

Coraz częściej teraz spotykać się nam zdarza wiadomości o dążeniach, wprawdzie pojedynczych dopiero indywidualów w ludzie—do oświaty i postępu, ale właśnie dziękować Bogu, że zsyła takie żywe przykłady, które więcej i silniej na swoją sferę oddziaływać potrafią; wszystkie usiłowania z zewnątrz nowszych reformatorów i propagatorów oświaty ludowej.

Jak pocieszającym, naprzykład, objawem może być ów list pisany do *Kaliszanina*, przed dwoma tygodniami, przez wieśniaka z Podlasia Szymona Wojdaka, który dziwi się, iż w Kaliskiem pożyczanie *Zorzy* od księdza proboszcza uważają za tak wielkie zjawisko, że wypożyczającego aż do godności krzewiciela oświaty zaliczają.

„Niechże *Kaliszanin* doradzi księżom—pisze autor listu — panom wójtom, sędziom gminnym, aby na pierwszy raz zakupili „*Zorzę*“ ze swoich funduszów i czempredzej z nią kaliskich włościan obznajmili; a mam nadzieję, że wkrótce nie będziemy czytali, iż u was zjawiskiem jest „*Zorza*.“ U nas to włościanie nie tylko „*Zorzę*“, ale i pisma prowincjonalne czytają, a jeżeli tak nie jest w Kaliskiem, to niech będzie wstyd wam, panowie oświeceni, żeście dotąd ludu swego w to nie wezwyczałili.“

Ta ostatnia uwaga brzmi przykro i to bardzo przykro w ustach tego, który zresztą zupełnie do takiego zarzutu jest uprawnionym. Pomimo tylu nawoływań, przedstawień i zachęcań, aby od czasu do czasu poświęcić jaki zbywający grosz na wydawnictwa ludowe, aby chociaż po gminach przyczynić się do zakładania biblioteczek gminnych, ułatwiać kolporterę nakładów *Promyka* i innych—oziębłość, apatya pozostaje zawsze jednakową, tak, że z tem większym podziwem, patrząc na kwestyę oświaty u nas, zawołać możemy: „*e pur si muove!*“

* * *

Bywają ludzie, którzy wśród społeczeństw wra- stają jak duże rozłożyste drzewa, i ze wspólnego gruntu czerpiąc soki dla swego pożytku, darzą cieniem i owocem drugich. — wzmocniwszy się zaś sami, dają później oparcie i podporę wielu innym.

Takiem drzewem ozdrowych sokach, bujnych konarach, bogatym w owoc i silnie wrosłem w nasz grunt społeczny był s. p. Leopold Kronenberg. Osobistość to nader wybitna stanowiskiem na polu przemysłu i finansowości naszego kraju, potężna wpływem w swoim zakresie, wyjątkowa pod względem hartu woli i charakteru, — powiedzmy otwar-

cie, — jedyna może w przeciągu ostatnich lat trzydziestu, przerastająca głową ludzi swego stanu i powołania.

Fabryki, drogi żelazne, instytucje handlowe i finansowe — były jego żywiołem. Królestwo jego inicjatywie zawdzięcza w większej części swój rozwój ekonomiczno-przemysłowy; a chcąc roztrząsać działalność Kronenberga, potrzebaby rozebrać zarazem stan naszego gospodarstwa krajowego w owej epoce, gdy założyciel głośnej dziś i potężnej firmy zaczynał dopiero uprawiać pole działania swego — i porównać stan ten ze stanem dzisiejszym, badając główne przyczyny korzystnych zmian i przewrotów.

Na równi z zasługami przemysłowca stanąć muszą zasługi człowieka i obywatela. Połączenie interesu własnego z interesami ogółu, postawienie sobie niejako za moralny obowiązek przypuszczenia tego ogółu do udziału w odnoszonych zyskach, — to była ta, rzadko i wyjątkowo uznawana, zasada s. p. Kronenberga. Jako filantrop nie szukał on reklamy; teraz nad grobem dopiero rozwiązały się usta tych, którzy z jego hojnej dłoni otrzymywali zapomogi; a wiele czynów bezimiennych, prawdziwie iflantropijnych, jak długoletnie wspieranie studentów uniwersytetu i t. p. dopiero z jego śmiercią otrzymały firmę jawną.

W dziennikarstwie „*Gazeta Polska*“; na polu wydawniczym luźne nakłady dzieł specjalnych i poważnych, w szerzeniu nauk założenie szkoły handlowej — pozostały pięknymi i szlachetnymi świadectwami jego działalności i dobrze zrozumianych obowiązków obywatelskich.

Zarzucono mu zbytek energii i hart woli graniczący z uporem, niekiedy nawet namiętność; ale kto wie: czy bez tych wad w walkach o pierwszeństwo mógłby być dobijać się zawsze celu, przy którym bądźco bądź dobro społeczne zyskiwało?

Ludziom, którzy na wyżynach kapitału widzą tylko swój jedyny ideał w postaci własnego interesu, przykład Kronenberga powinien być nauką, jak się społeczeństwu odwdzięczać należy.

Daj Boże, więcej takich milionerów, a i kraj przy nich się wzbogaci!

* * *

Dwa projekta powstały znowu na naszym bruku, oba dotyczące kwestyj żywotnych, oba niezupełnie nowe, ale zaradzające nader ważnym na razie potrzebom.

Pierwszy domaga się koniecznie drugiej szkoły realnej, i o nim tu kilka słów pomówimy.

Wiadoma rzecz, ile w ostatnich czasach kierunek techniczny u nas porwał za sobą młodzieży, jak każdy ojciec dla syna swego w kolebce już przeznaczal, jako ideał powołania, zawód inżyniera albo mechanika. Technik stał się bohaterem dnia; bohaterem powieści, komedii, towarzystwa, salonów, kwestyą społeczną, — mamy wdychały do zięciów inżynierów, panny śniły o mechanikach kujących złote kluczyki do serc. Słowem, technikomania opanowała wszystkich i wszystkie.

Mimo to w kraju naszym nie uczyniono nic takiego, coby tej gorączce nowego prądu zadosyć uczynić nie mogło. Technik może dlatego był tak poszukiwanym egzemplarzem, że go sprowadzano z zagranicy, że był osobistością importowaną, więc oprócz innych właściwości posiadał jeszcze urok nieswojskiego stempla.

Na całe bowiem Królestwo nie posiadaliśmy i nie posiadamy ani jednej wyższej szkoły technicznej, a wszystkiego *trzy* szkoły realne, z których rzadki unikat znajduje się na 8 gimnazyów klasycznych w Warszawie i pomieścić może z biedą w 1-ej klasie corocznie 40-stu uczni.

A corok zbiera się u wrót tego przedsionka realnej wiedzy około 150 do 200 kandydatów, którzy dla formy poddać się muszą wstępnemu egzaminowi, aby zyskać prawo do wyczekiwania następnego roku, — lub porzucenia myśli o szkole realnej.

Rozumie się, iż dla miasta przeszło 300,000 mieszkańców liczącego jedna szkoła realna jest straszliwie niewystarczająca; rozumie się dalej, iż to miasto nie mogąc posiadać akademii technicznej powinno przynajmniej postarać się o drugą szkołę realną, lub o rozszerzenie pierwszej, a dla łatwiej-

szego przeprowadzenia tego projektu powinno ze swej strony ponieść pewną ofiarę i przeznaczyć chociaż gmach na szkołę.

Miejmy nadzieję, że tak będzie, — chociaż u nas, ilekroć się nawołuje ogólnie, to głuchota objawia się powszechnie; potrzeba dopiero krzyknąć:

— Panie H. Y. szanowny obywatelu, ojcie trzech synów, przyszłych inżynierów i technologów, — zaproś też z łaski swojej sąsiada z przeciwka i naradź się nad urządzeniem drugiej szkoły realnej w Warszawie; tylko nie radźcie tak długo i tak zgodnie jak komitet do założenia kassy wzajemnej pomocy dla rzemieślników, bo wtedy dzieci wasze wyłysieją wpiery, zanim doczekają się rezultatu z waszych narad.

Drugim projektem, który urodził się w głowie p. Ungra, wyłgnie się w jego kieszeni, a wyłonić się ma na Pradze, — jest plan zbudowania tanich mieszkań dla robotników fabrycznych i kolejowych.

Myśl szczęśliwa i pożyteczna.

Kwestya pomieszkań w Warszawie jest jedną z dziesięciu plag trapiących nasze miasto, a szczególniej klasę robotczą, która gnieździć się musi w norach, suterrenach i mansardach.

Miałby tedy p. Unger prawdziwą zasługę, gdyby się po swojemu, energicznie, zabrał do wykonania projektu, który wszędzie zagranicą okazał się praktycznym i praktykowanym.

W tak małym stosunkowo mieście, jak Kraków, zabrano się już podobno do budowy mieszkań tanich dla uboższej ludności kosztem miasta. Czyżby się Warszawa dała zawstydzic?...

SASIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Panna Blandyna krzyknęła.

— Jak jegomość możesz mówić coś podobnego! Czy to się godzi! czy to po chrześcijańsku! Wstydzilibyś się.

Strukezaszyc weale nie nawykły, aby mu siostra śmiała oponować, oczy wielkie na nią wytrzeszczyły.

— A to co jest? — krzyknął.

— Co? co? — ofuknęła gniewnie p. Blandyna — to, że ojeu nie przystało wyzywać p. Boga i mówić o własnym dziecku na marach!

Hojski zamilkł.

— Nie ucz-że mnie rozumu! — odparł ponuro i zwrócił się do komornika.

— Gadaj co więcej! toć to przecie historia! gadaj!

— Ja-bo nie wiem nic więcej! — rzekł komornik. Strukezaszyc, niecierpliwy, chodzić zaczął po izbie.

— No, to napij się wódki, przekaś, siadaj na bryczkę, jedź z kondolencyą do sędziego do Łopatycz — i wracaj mi się coś żywo. Ja spać nie pójdę, aż się dowiem — co to się stało.

Komornik nie miał widocznie ochoty jechać tak zaraz, — wymówił się.

— Jutro rano.

— Z waści we wszystkim dojutrek! — zawołał.

Ale już się tak był nad miarę wygadał i twarz p. Blandyny mocno skłopotana, tak go męczyła, że zamilkł.

Kaczor postawił na swoim, i resztę dnia poświęciwszy rachunkom jakimś, dopiero nazajutrz ruszył do Łopatycz.

Tymczasem Strukezaszyc tak był niecierpliwy dowiedzieć się czegoś więcej o ucieczce córki sędziego, że na trakt wychodził, w nadziei, iż od przejeżdżających dostanie języka.

Ale nikt jeszcze o niczem tak dalece nie wiedział, tylko to, że w Łopatyczach stało się jakieś nieszczęście i że do gubernii po doktora posłano. Trzymano podobno w tajemnicy wypadek.

Komornik, pojechawszy zrana, jak w wodę wpadł. Spodziewano się go na obiad, nie przyjechał i nie zjawił się aż ku wieczorowi, gdy sędzia przeklinał go na czem świat stoi.

— Myślałem, że cię do czabanki wsadził sędzia! — zawołał, widząc przybywającego — coż tam robił cały dzień?

— Tak-to łatwo się co dowiedzieć! — odparł komornik.

— Gadajże, coś przywiózł.

— Niewiele — niemożna nie spenetrować — począł Kaczor — Do sędziego ledwie mnie dopuścili na chwilę, we dworze gęby pozamalowywane, jakby nie się nie stało. Tylko po ludziach znać, że im cięży coś na sercu. Z początku ani było co dobyć.

— Więc tają? to może kłamstwo? — przerwał Strukczaszyce.

— A, niechże pan posłucha do końca — odezwał się Kaczor, poważną przybierając minę.

Sędzia mnie przyjął chory — skarżył się tylko, o interesach zagadnął i odprawił. Ludzie gadać też nie chcieli. Musiałem pójść do Sliwki, z którym jestem dobrze. Jego w domu nie było, wyszedł w pole. Siedz i czekaj. Sliwczyną — ani się z nią dogadać: nie wiem i nie wiem. Nareszcie przybył i on. Zakląłem go, do alkierza wzięwszy: Wiesz, że ja przyjąłem domu, nie zdradzę; mów co się stało? jak? — Ten mi na to: — A, myślisz, komorniku, że ja co wiem. — Jak w rogu. — Tyle tylko, że panny niema.

Począłem pytać: z kim uciekła? — Otóż to sęk — rzekł ekonom, że tego i dyabeł nie zgadnie. Panna była harda, na nikogo i patrzeć nie chciała. Supponują, że odjechała do ciotki, do matki Teresy do Lublina, ażeby jej rodzice Niemcem nie persekwowali. Posłano do Lublina, na wszystkie cztery wiatry.

Otóż tyle dobyłem ze Sliwki. Miałem już jechać, gdy około mostu spotkałem Prędkowskiego, kamerdynera sędziego, idącego z austeryi, jakby z pogrzebu. Zawsze z nim byłem dobrze. Wziąłem go na bok.

— Co za nieszczęście! — rzekłem.

— A, to komornik wiesz? — zapytał.

— Jakże, proszę waćpana (tu-m skłamał, Boże odpuść), sam sędzia mi mówił, ale pod sekretem.

To skonwinkowało kamerdynera, że mi usta i serce otworzył. Weszliśmy w zarośla.

Powiada, że przez cały czas podróży z Warszawy, po pannie nic nie było widać nadzwyczajnego. Owszem, śmiała się, mówiła wiele, z ojcem i matką była jak najlepiej, a z Francuzki guwernantki drwiła, że miała nos na kwintę. Na popasach i noclegach, tylko miała taki zwyczaj, że się wypraszała na przedchadzkę, przebieżdż, że jej od siedzenia w powozie nogi zakłękły. Francuzki nie brała z sobą, tylko pieska Zoleia. Na ostatnim noclegu, choć deszczyk mżył, zapragnęła po lasku się przejść. — A już jak się uparła w czem, nie było na nią sposobu. Poszła. Tymczasem — Prędkowski powiada — kuchta wieczór przygotował, nakryli do stołu, czekają pół godziny, godzinę: niema panny. Myśleli, że się w lasku zbłąkała. Posłano służbę szukać, wołać, — na wszystkie strony: panny niema. Już i noc — strach czy się jej co nie stało. Ludzi wyprawiono z latarniami; sam sędzia wyszedł na gościniec, strach, trwoga — panny niema. Co tam im do głowy przychodziło, Bogu tylko wiadomo; aż któraś ze sług, wszedłszy do pokoiku panny, znalazła na stole kartelusik. Na kartelusiku stały tylko te słowa: „Proszę o mnie być spokojnymi, kochany ojciec i matko: jestem pod dobrą opieką.“

I tyle.

— Hej? jak? jak? — podchwycił ciekawy Strukczaszyce.

Komornik powtórzył i ciągnął dalej:

— Dopiero się okazało, co się święci. — Pierwsza Francuzka z apprehensyi zemdląła, że ledwie się jej docucili; matka też padła prawie bez zmysłów. Sędzia rozbeczał się jak bóbr.

— Dobrze mu tak! — przerwał Strukczaszyce — Pan Bóg za mnie karze, za mnie, na dziecku! Dojadł mi, dogryzł, życie struł: otóż ma wymiar sprawiedliwości.

Ale, — żadna panna, żeby niewiedzieć jaka by-

ła, sama jedna na piechotę nie ucieka, choćby i od Niemca: gdzieś tam kawaler jakiś musiał być. Przysięgam, że był.

— A Prędkowski klnie się — rzekł komornik, iż żadnego, jako żywo, kawalera nie było i być nie mogło.

— Mój mości panie — odezwał się sentencyonalnie Strukczaszyce. — Kawalera jej stanu nie było, — może być; ale czyż sobie nie mogła upodobać oficyalisty i mieć z nim romansu? U takich dziewcząt, wychowanych przez Francuzki, nie takie się rzeczy trafiają.

Pokiwał głową Strukczaszyce.

— A co więcej? — zapytał.

— Toć wszystko — odezwał się komornik. Sędzia rozesłał na wszystkie trakty, po okolicy, do Lublina, kazał po karczmach przepytować, chłopów badać — no....

— I nie? — spytał Hojski.

— Ani śladu — rzekł Kaczor.

— Oczywiście rzecz, iż to było naprzód ułożone, napięte, ukartowane, a grosza-był nie dał — począł Hojski, że Francuzka do tego należała.

— Leży chora na gorączkę — odparł komornik.

Badanie się na tem skończyło.

Przebiegły Strukczaszyce, w którym nieszczęście nieprzyjaciela nie potrafiło obudzić litości, tegoż dnia zwierzył się przed komornikiem, iż porę uważał za najwłaściwszą do wystąpienia z pozwami o nabyte wierzytelności.

Kaczor delikatnym człowiekiem nie był, jednak zdawało mu się, iż dobijać tak srodze przez los dotkniętego sędziego, może nie uchodziło.

— A to mi dobre! — zawołał Hojski — acan chcesz żebym ja przez głupią delikatność czekał pory niedogodnej dla mnie! Chybabym oszalał. Właśnie kiedy głowę stracił, trzeba korzystać i tego nań napaść.

Ja acanu więcej powiem — dodał Strukczaszyce, widząc z miny komornika, iż to nie trafiało do jego przekonania. — Sądź sobie co chcesz, ja to powinieć uczynić przez miłosierdzie!

— Jak? przez miłosierdzie? — syknął zdziwiony Kaczor.

— A tak! — odparł Hojski z półśmiechem sardonicznym. — Człowiek już zbolaty, zbity, to mu tam więcej jedno szturgnięcie bardzo nie będzie dolegać. Byłoby z mej strony okrucieństwem, gdybym, dawszy mu wytechnąć i wypocząć, dopiero go potem oprymował.

Komornik osłupiał. Spojrzeli sobie w oczy; Kaczor tą argumentacją był przerażony, uląkł się swojego pryncypała.

— Tak, kochany mój — ciągnął Hojski — przez miłosierdzie go dobić trzeba — aby się nie męczył.

A ja też względem tej szui obowiązków żadnych nie mam, tu idzie o moją skórę. Zatem śpiesz mi się waszmość z pozwami, i jak tylko na terminie nie zapłaci — tradować! tradować! tradować!

— Wie pan Strukczaszyce, rzekł cicho Kaczor — to go w istocie może dobić.

— Ha? jeśli w tem jest wola Boża! dodał stary — ja nie mogę się jej przeciwieć. My robimy swoje — kury do indyków nie należą.

Komornik zmilczał.

W kancelaryi przygotowywały się papiery. — Strukczaszyce przyspieszał o ile możności.

Sędzia w terminach nie zapłacił, protesta zostały do akt wniesione, obligi intabulowane; wlewki nabyte wynosiły summe, za którą conajmniej dwie wioski zatradować było można. W urzędach Strukczaszyce sypał groszem i wszystkich miał po swej stronie.

Z nieubłaganą mściwością i nienawiścią ścigał nieprzyjaciela. Był tego przekonania, jak powiadał, że sam Pan Bóg sprzyjał słusznej jego sprawie i nią się opiekował.

Jakimś mileżącym tryumfem jaśniała twarz jego, gdy w niedzielę do kościółka pojechał.

Z Łopatycz, oprócz pisarza prowentowego nie było nikogo, ławka kolatorska stała pusta. Hojski po mszy świętej poszedł z komornikiem na probostwo.

Ks. Dagieli przyjął go chłodno.

— A co, ojezuku — cicho szepnął Strukczaszyce. Doczekałem, ja chudy pacholek, że po tym żółto-brzuchu pojadę! Ha! Pan Bóg pokarał na dziecku,

a ja mu i majątku szmat zabiorę. Tryumfowali przemocą — przyszła chwila na mnie.

Zatarł ręce z radości.

Ksiądz stał, jakby patrzył na chorego lub obłąkanego — litościwie.

— Mój Strukczaszyce — rzekł, nigdy się z cudzego nieszczęścia cieszyć nie należy, choćby dotknięty nieprzyjacielem był. Asindziej go pogiębione-go dobijać chcesz?

— Jestem w mojem prawie! zawołał Strukczaszyce.

— Ale nie w Chrystusowem! odezwał się ks. Dagieli. — Nie! Ja nad tem boleję; wiesz asindziej dla czego?

— Hm? — spytał nieco zmieszany stary.

— Oto dla tego, — począł poważnie proboszcz, — bom widział to, nie raz, ale sto razy, na oczy moje, iż kto się z cudzego nieszczęścia cieszy, kto z niego korzysta, ten własnego jest blizkim.

Ten rodzaj prorocstwa, wypowiedziany z jakimś pryncypem, zmieszał Hojskiego.

— Co-bo acan dobrodziej, straszyc mnie chcesz! — zawołał.

— Bynajmniej — odezwał się ks. Dagieli, życząc waćpanu jaknajlepiej; ale się obawiam o niego. Masz waćpan jedynego syna, tak jak sędzia jedną ma córkę, a dobrze-by ci było, gdyby on poszedł nie po twej woli i serce ci zakrwawił?... Prawo Boże powiada: nie czyni drugiemu co tobie niemił. W tem „nie czyni“ mieści się zarazem — i — „nie żyć“.

Tak, panie Strukczaszyce, to prawo Boże.

Hojski nic nie odpowiedział. Wspomnienie syna tknęło go mocno.

Zagadał o czem innem, chwycił za czapkę i, pokłoniwszy się proboszczowi, wyszedł, nachmurzony, z probostwa.

— Z tym księdzem pogadać nawet po ludzku nie można — rzekł do siebie. Nigdy komży i styły nie zrzuca, i przy śniadaniu nawet kazania prawi.

Od powrotu z Warszawy Łopatycze stały się najsmutniejszym miejscem w świecie. Choć na pozór nie się w życiu nie zmieniło, bo nazewnątrż nie chciano okazywać boleści, która nekła wszystkim, dnie były niustanną męczarnią. — Sędzinka biedna leżała chora, puszczonej jej krew; niedające się utamować łzy wycieńczyły ją. Nie mówiła nic; modliła się i płakała.

Tylko gdy sędzia wszedł do jej pokoju i siadł przy łóżku, biedna męczennica usiłowała przybrać twarz wesołą, szukała w sobie wyrazów, któremiby ukochanego mężusia mogła pocieszyć, uśmiechała się — zapewniała go, że była zdrową, że miała i ma przeciecznicę, iż wszystko się to skończy jaknajlepiej.

— Zobaczysz kochasiu! mówiła głosem osłabłym. Bóg łaskaw! Czyżemy my tak wielcy grzesznicy, aby on nas tak strasznie karał, jedyny skarb nam odbierając?

Nie trap się, nie smuć, bądź dobrej myśli — mólł się — zobaczysz. Odzyszczemy Leonkę, odzyszczemy. Ot, tak się jej w główce trochę zakręciło, chciała nas nastraszyć! Ten Niemiec wszystkiemu winien.

Czemeryński słuchał, niesłyszając: i on był ciotsem tym śmiertelnie przybity, trzymał się tylko z obowiązku, okazując męstwo, którego nie miał.

St. Aubin, po pierwszych mdłościach, z których ledwie się ją docuciono, zachorowała ciężko.

Trwożyła się, i nie bez przyczyny, aby winy jej nie odkryto, i, chociaż nie wiedziała co się stało z Leonillą, domyślała się, że wtem wszystkim, ów sielankowy kochanek grać musiał jakąś rolę. Ze strachu, aby jakiegoś śladu stosunków nie odkryto, powróciwszy do Łopatycz, przetrząsnęła wszystkie papiery i gałganki, popaliła cokolwiek znalazła, a mimo to żyła w niustannej trwodze.

Jak tylko się uczuła lepiej cokolwiek, pierwszą myślą jej było uciec z tego domu. Lecz w ciągu pobytu swojego, wyobrażając sobie, że sędzia był niezmiernie bogatym, pani St. Aubin mało co pobierała ze swej pensyi i lokowała ją ciągle u Czemerzyńskiego. Należność i ta, rosła przez długie lata, do znacznej bardzo summy się podniosła. Sędzia w dzisiejszym stanie majątkowym nie mógł zapłacić. Francuzka przewidywać to zaczęła coś

zasłyszawszy o kłopotach pieniężnych, lecz gotowa już była zostać przy skrypcie, byle móż ujęć z tych Łopatycz.

Wstała nareszcie, więcej ze strachu niż z sił odzyskanych, zwlokła się do sędziny i zwierzyła się jej, że tęsknota po uczennicy czyniła jej pobyt w tym domu niemożliwym, zdrowie toż wymagało miasta. Zaklinała, aby ją puszczoneo, — nie czuła się już tu wcale potrzebną.

Sędzina rozplakała się i zaprotestowała, ale obiecała powiedzieć mężowi. Czernyński, któremu na pamięci stały owe z górą tysiąc czerwonych złotych, należące się bonie, aż się wzdrygnął.

— Co-bo jej do głowy przyszło — zawołała — siedzi tu jak u pana Boga za piecem, a chce biedę gonić po świecie? Po co? na co? Oszalała. Jeszcze się jej tam coś należy, bo pensyi nie chciała brać; jak mnie teraz naciśnie, ja jej grosza dać nie mogę.

A wybij-że jej to, moja jejmościu z głowy! Co to jej tu źle?

Francuzce nie było łatwo wyperswadować, — strach ją pędził.

Poszła sama do sędziego, ze łzami domagając się uwolnienia, poprzysięgając, że umrze, jeśli jej nie puszcza. Naprózno całej wymowy swej francuzkiej używał sędzia, by ją uspokoić. W ostatku przebaknął, że i rachunek należności tak nagły, był niemożliwym. Stanęło na obliżu i choć kilkudziesięciu dukatach na drogę.

Wyrywała się St. Aubin, gotowa na wszelkie ofiary.

Chociaż przez wyjazd jej dom bardziej jeszcze miał opustoszeć, niepodobna było gwałtu jej zadawać. Czernyński uspokoił ją, że pomyśli o tem.

Na nieszczęśliwego w istocie sędziego spadły teraz wszystkie razem ciężary, smutki i utrapienia. Trzeba było i tego, że w kilkanaście dni po powrocie do Łopatycz, odebrał od Podkomorzego ze wsi oznajmienie, iż p. lejtnant Vogt, korzystając z pozwolenia odwiedzenia na wsi Czernyńskich, zjechał wraz z zięciem Buchowieckiego na wieś i miał służyć w Łopatyczach.

Widać było z tego, że zachowywana względem obcych tajemnica zniknięcia p. Leonilli, Podkomorzemu zdradzoną nie została. Czernyński, list odebrawszy, za głowę się chwycił, chciał do żony biedz, — pożałował jej, wpadł do Francuzki. Sam nie wiedział co miał robić. Dyszał, sapał, oczyma obłąkanemi rzucał, wołając, że jest zgubionym.

Francuzka rzuciła się twarzą na łóżko. Nie rychło oprzytomnieli, i St. Aubin doradziła odpisać natychmiast, że panna leżała chora, mocno chora.

Ponieważ szło o odstąpienie kawalera, radziła skomponować ospę.

Choroby tej, zaraźliwej, często śmiertelnej, niezniermie się naówczas obawiano; zdawało się więc pewnym, że Vogt się tu nie pokaże.

Czernyński odetchnął, podziwiając niezmierny rozum Francuzki, i przyznając się do tego, że on, mimo całej bystrości swej, nigdyby był nie wpadł na pomysł podobny.

Wystylizował list do Podkomorzego, najlepsze konia kazał dać ze stajni, najzwawszego chłopca wsadzić na konia i pędzić z odpowiedzią, aby wyprzedzić ową wizytę.

Stało się czego nie mógł przewidzieć.

Zakończony Vogt wziął sobie za punkt honoru, okazać, że kochał pannę tak mocno, iż dla niej nawet ospę gotów był brawować. Podkomorzy i zięć jego oświadczyli, że — nie pojada. Lejtnant kazał zaprzęgać.

Zapowiedziano mu tylko, iż za powrotem w oficynie odbywać będzie kwarantannę.

W chwili, gdy się go jaknajmniej spodziewano w Łopatyczach, Sas przyjechał z kondolencją. — Czernyński załamał ręce, zbladł, lecz musiał go przyjąć. Co gorzej, musiał opisywać mu chorobę, kłamać i kilka godzin wytrwać na mękach.

Przyjmowano gościa z występem wielkim, co najrychlej spędziwszy sługi, rozdawszy barwę, dobywszy srebra. Vogt siedział kilka godzin, a gdy go wreszcie na ganek wyprowadził, żegnając, Czernyński tak z siłą opadł, że na ławce w ganku siadłszy, wstać z niej bez pomocy nie mógł. Jedną biedą nie przychodzi nigdy sama. Dobiegały ciągle sędziego wieści o gotującej się tradycyi

i ponabywanych przez Strukezaszycę długach. Na odretwiąłym nie czyniło to wielkiego wrażenia.

— Niech się dzieje co chce! — mruzczał Czernyński.

W tem usposobieniu jeszcze obojętnem niemal, gdy po wizycie Vogta wysapać się nie miał czasu, Sliwka przyszedł mu oznajmić, iż Puksza mecenas przybył do niego, z pilnym interesem.

— Zmiłuj się, Sliwka — rzekł głosem słabym sędzia — zapytaj, czego chce. Jestem śmiertelnie zmęczony.

— Ja go pytałem — odezwał się Sliwka, ale mi odpowiedział, że nie może nikomu z tem się zwierzyć tylko jaśnie panu.

Czernyński powlókł się do kancelaryi. Jak się to bardzo często trafia, że po apatyi następuje stan gorączkowego rozdrażnienia, stało się tak i z sędzią. Przybycie pana Pukszy wprawilo go w rodzaj tłumionego gniewu. Tego wszystkiego, co go spotkało, miał już zawiele.

— Sprzysięgły się losy i ludzie, aby mnie do wściekłości doprowadzić.

Puksza, którego Czernyński mało używał do interesów, znany nieprzyjaciół komornika, któremu darować nie mógł, że się prawniczą fuszerką zabawił i chleb mu odbierał, był mężczyzną lat średnich, elokwency i zdolności niepospolitych, zabiegliwym niezmiernie, lecz nie wiodło mu się w niczem.

Walczył z losem uparcie, los się uwziął nie dać mu się dzwignąć. Im silniej się rzucał, jeździł, starał, tem mu gorzej szło.

Sędzia już zły, patrzył tylko na drzwi, aby wchodzącego wziąć na oko i — byle pozór zburzyć potężnie.

Przed progiem słyhać było niezmiernie długo, jak się zdawało Czernyńskiemu, chrząkanie i staranne ocieranie nóg. Puksza, stojąc za drzwiami, poprawiał strój, gładził włosy, sposobił przemówienie.

Ukazał się wreszcie.

Był to słuszny mężczyzna, zdrow, poczynający szpakowacieć, z twarzą długą i oczyma żwawemi. Prezentował się bardzo przyzwoicie i z pewną elegancją.

— Pana sędziego dobrodzieja, nóżki całuję.

— Kłaniam się — rzekł sucho Czernyński, nie ruszając się z krzesła.

— Pan sędzia daruje, że mu może spoczynek potrzebny przerywam, lecz są sprawy niecierpiące zwłoki.

— Czy i waćpan masz do mnie lub ze mną sprawę jaką?

Kwaśne i z przekąsem odzywianie się sędziego, zamiast zmieszać Pukszę, zdało mu się dodawać śmiałości.

— Ja nie dla żadnej sprawy przybywam — odezwał się prawnik — ale przez tę wenerację, jaką mam dla domu jaśnie wielmożnych państwa, których chociaż łaską się poszczycić nie mogę, tandem w stałym trwam affekcie i konsyderacyi.

— *Ad rem! ad rem!* — przerwał Czernyński.

— Przybywam z ostrzeżeniem — ciągnął spokojnie Puksza. Pan sędzia affekt swój i zaufanie nie zawsze lokuje szczęśliwie. Ja się brzydzę zdradą. Używałś jaśnie wielmożny pan tego partacza komornika do wielu drobnych interesów — nie jest to dla nikogo sekretem.

— Bo mi się tak podobało — odezwał się Czernyński.

— A tymczasem ten zdrajca wszystkie tajemnice pańskie nosił i nosi do Sierhina. Tam je, tam śpi, tam mieszka, tam pańskie skrypta rejestruje, a szlachtę ściąga i namawia, aby obliży Strukezaszycowi zbywała.

Świadców na to postawię, że Wolskich i Mościckich i innych wozół, oprymował, poił póki ich nie skłonił do sprzedaży skryptów.

Czernyński słuchał, bledniejąc.

— Pewna to rzecz? — przebaknął.

— Na Ewangelii poprę przysięgą — odezwał się Puksza — jak zbawionym być pragnę. Nie idzie mi o pomstę nad tym robakiem mizernym, choć on mi zalazł za skórę — lecz o dobro pańskie.

— Bardzo dziękuję — odpowiedział sędzia, gniew tłumiąc w sobie. Wybuchnąć nie było z czem.

Puksza stał, czekając jeszcze.

— Dałbyś mi to asindziej na piśmie? — zapytał Czernyński.

Prawniki nieco się zamyslił.

— Czemuż nie — dam! — odparł — a mogę wiedzieć jaki jaśnie pan z mojego świadectwa uczyni użytek?

— Żaden inny, tylko ten, że je sprezentuję temu łajdakowi — odezwał się Czernyński. Siadaj waćpan i pisz.

Puksza położył czapkę, siadł za stół, a że do pióra był nawykły, *currente calamo*, napisał świadectwo i *manu propria* je podznaczył.

Sędzia podane sobie świadectwo odczytał i z przekąsem baknął:

— Co się należy za tę sztukę?

Obraziło to Pukszę: wyprostował się i sięgnął po czapkę.

— Nie należy mi się nic, oprócz „Bóg zapłać.“ — Nogi całuję.

Wejrzeniem dumnym zmierzył sędziego i poszedł ku drzwiom. Czernyński tak był przybity, że go nie odwołał, ani się już odezwał. Świadectwo położywszy na stoliku, siedział, wrąc w siebie i usiłując się usmieszyć naprózno.

Upłynęło czasu dosyć, godzina może; a sędzia, przechodząc w myśli całe życie i losy swoje, co go spotykało, co przecierpiał, coraz mocniej się rozgorączkował. Zmierzczać się zaczynało, gdy służący otworzył drzwi.

— Pan komornik przyjechał — rzekł.

Czernyński wstał, jakby go co rzuciło. Zawołał sługę i pocichu mu dał dyspozycję.

— Rozumiesz? — spytał.

— Rozumiem.

— Prosić pana komornika.

Oczekując nań siadł w krzesło.

— A to dzień feralny! — rzekł do siebie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jeszcze o książce zbiorowej dla Kraszewskiego.

Już w N. 2 *Bluszczu* z r. b. zajmowaliśmy się tym przedmiotem, wykazując stosowność i wykonalność myśli rzuconej pierwotnie w *Kłosach* w N. 631 przez Pługa, a nadewszystko broniąc samoistności samego pomysłu książki zbiorowej wobec podjętego przez firmę J. Ungra wydawnictwa 15-tomowego powieściowych utworów Jubilata. Zdaje nam się, że dziś nikt już nie wątpi o tem, iż oba wydawnictwa obok siebie doskonale istnieć mogą, jedno drugiemu nieszkodząc; a chociażby przewidywano materyalnych owoców z wydania książki zbiorowej nieziszczonem pozostać miało, względem wpływu najmniejszego na samo urzeczywistnienie pomysłu mieć nie powinien wobec świetnego powodzenia, jakiego już doznało owó wydawnictwo 15-tomowe. Przy osiągniętej już liczbie 8,000 prenumeratorów nie potrzebuje się ono obawiać żadnego współzawodnictwa i przy tej też liczbie może już bezpiecznie samo jedno podjąć na siebie zadanie zebrania okazałego funduszu — funduszu, za którybyśmy się wszyscy jak jesteśmy, wstydzili przed Kraszewskim i przed samymi sobą nie potrzebowali. Obliczono, że przy tej liczbie prenumeratorów, jaka już dotychczas zapisała się, czysty dochód wyniesie złp. 200,000; widoki na przyszłość jeszcze się polepszą, i wolno dziś spodziewać się przy ukończeniu wydawnictwa 15-tomowego już nie 8, ale jakich 10 tysięcy prenumeratorów.

Dla książki zbiorowej zatem pozostaje jedynie obowiązek godnego upamiętnienia uroczystości za pomocą słowa, ołówka i ryleca. W jaki sposób komitet redakcyjny, którego skład wymieniliśmy już w końcu pierwszego naszego artykułu, obowiązek ten pojmuje, jaką chce mieć książkę zbiorową — dowiadujemy się o tem z dwóch już jego ogłoszeń: z prospektu, przeznaczonego dla ogółu publiczności i z programu książki, wskazującego jej układ, a napisanego dla współpracowników i osób żywiącej się tem pamiętkowem wydawnictwem. Komitet redakcyjny — głównie, o ile wiemy, za sprawą p. Piotra Chmielowskiego — nie usłuchał ni-

czyjej rady i poszedł drogą, którą sam sobie obrał. Książka przezeń idealnie już wytworzona nie będzie ani taką, jaką projektowano na pierwotnej naradzie, jeszcze we Wrześniu r. z. odbytej, ani taką, jaką chciał mieć Jeź; ani wreszcie taką, jakiej myśl rzucono w pewnym kole literackim, które chciało, żeby w książce tej epoka cała niejako przemówiła do jednego z najdosłowniejszych swych przedstawicieli. Projekt na naradzie pierwotnej broniony miał być tylko powtórzeniem dawniejszych: na wzór *Więca dla Jachowicza* i *Książki zbiorowej dla Wójcickiego*, chciano złożyć książkę obecną z artykułów związku żadnego ze sobą nie mających; chciano, co więcej, dopuścić do udziału wszystkich, piszących i niepiszących, ale którzyby w danym razie pióro do ręki wziąć zapragnęli. W ten sposób poruszyłyby się najdalej kręgi opinii publicznej i bezpośrednio zainteresowały bardzo liczne jednostki, tak, iż wziętość książki z góry byłaby zapewnioną. Prace nie byłyby przyjmowane bez wyboru; przeciwnie, popierający myśl takiej książki zbiorowej chcieli wprowadzić zasadę konkursu bezimiennego, a nadto postawili dla zbytznego przypływu artykułów tamę z pewnej ściśle określonej obszerności książki, oraz wczesnego terminu prekluzyjnego dla nadsyłania prac. Taki był pierwszy projekt.

Myśl Jeża, ogłoszona w *Wieku*, powoływała również do współpracownictwa całą powszechność. Jeź chciał, aby każdy napisał co wie o Kraszewskim i jego dziełach, z osobistych z nim stosunków, i do zbioru nadesłał. Nietylko historia człowieka, ale i historia dzieł jego miała w ten sposób otrzymać materiały pożądane dla tych, którzy w przyszłości znakomitym pisarzem naszym zajmować się będą.

Trzeci projekt, można było zrozumieć tylko w ten sposób, że wybrani myśliciele, erudyci i pisarze, zdolni do pochwylenia i przedstawienia w słowie różnych prądów umysłowych epoki, jako też stanu umysłowości naszej, o ile się ona zamyka w literaturze, sztuce i naukach ścisłych, w szeregu artykułów zasadniczych, opartych na silnych podstawach zbierającej wiedzy i porządkującego rozumu—dadzą obraz chwili obecnej w jej dążeniach i trudach intelektualnych. Zadanie—to wielkie—tak wielkie, że niewykonalne; nawet ciału akademickiemu ciężar takiego *przemówienia za całą epokę* skutecznie podjąć byłoby trudno, prawie niepodobna: a coż dopiero mówić o siłach rozstrzelonych, zwłaszcza, gdy zwazymy, że choćby się znalazła głęboka wiedza przy pewnym niezbędnym nastroju, to jednak mógłby się nie znaleźć na jej zawołanie dar słowa, bez którego przecież książka pamiętkowa, przeznaczona dla powszechności, chybiłaby celu.

Komitet redakcyjny pominął zupełnie pomysł książki takiej, która by się dokonała miała przez wspólne ruszenie pisarskie. Najważniejszą z pobudek była tu obawa stworzenia rzeczy małowartej—obawa smutnem doświadczeniem aż nadto usprawiedliwiona. Z projektu Jeża wzięto tylko jedno: to, że książka będzie o Kraszewskim; dodatkowo jedynie zostawiono miejsce dla owych luźnych wspomnień, o jakich pisał Jeź. Projekt trzeci już wobec takiego postanowienia upaść musiał: nie rozprawiono nawet nad nim. Ostatecznie zgodzono się na to, aby książce jubileuszowej „nadać zakres pracy wyłącznie mającej się zająć Kraszewskim, jego rysem biograficznym i wyczerpującym, o ile możliwości, a skreślonym przez siły zbiorowe, obrazem działalności jego literackiej, artystycznej i obywatelskiej“. Jestto więc projekt w ostatecznem sformułowaniu swoim niepodobny do żadnego z poprzednich—i powiedzmy to, nad wszystkie poprzednie wyższy.

Książka tak pojęta będzie budową systematyczną. Ma to być dzieło poważne, rzeczywiście coś znaczące w dziedzinie krytyki i historii literatury. Przyznajemy, że początkowo z projektem takiej książki sympatycznie zespolic się nam nie pozwalała myśl, iż przedsięwzięte dzieło cierpieć będzie na niejednorodność poglądów i stylu, a krytyka w niem nieunikniona nie zdoła się utrzymać na szczeblu rzeczywistej godności. Bliższe wszakże poznanie rzeczy myśl tę odeгнаło: uważamy dziś projekt ogłoszony w prospekcie i programacie za najodpowiedniejszy, jaki powziąć było można, za

rzeczywisty upominek od ludzi pracujących na niwie literackiej—dla wielkiego tej niwy Oracza. Jeżeli tylko piszący pamiętać będą o tem, ażeby więcej faktów z ubiegłego życia niż myśli własnych ogólnikowych do książki wprowadzić, to chociażby schemat całkowity działalności Kraszewskiego wypełnionym być nie mógł, owoc pracy zbiorowej będzie cennym nabytkiem dla literatury. Wołamy o fakta, bo na tych myśli najwspanialsze nawet i najoryginalniejsze, opierać się muszą; wołamy o fakta, bo je teraz jeszcze łatwiej zgromadzić, niż będzie kiedyś, gdy się przeszłość grubsza niż dziś mgłą pokryje.

Tak wykonana książka o Kraszewskim, książka, która by nas jaknajwięcej o nim, jego epoce i jego dziełach nauczyła, — na poparcie, jeśli nie całego ogółu, który dziś rozkupuje powieści, to przynajmniej jego warstwy najwykształcenijszej, liczyć może. Oby tylko ta warstwa prawdziwie obfitą się okazała!

Książka jubileuszowa rozpadać się będzie na cztery działy: Życiorys, Ocenę działalności literackiej, Artykuły odosobnione i Bibliografię.

Życiorys musi wyjść koniecznie z pod jednego tylko pióra; napisze go przyjaciel Jubilata, Pług. Komitet zwraca się do powszechności o nadsyłanie materiałów, aby życiorys ze strony stosunków towarzyskich i społecznych Kraszewskiego uczynić jak najgruntowniej. Wezwanie to od siebie na tem miejscu powtarzamy, sądząc, że każdy, o ile to będzie w jego możności, przez dostarczenie materiału, przyłoży się do dzieła. Wszelka korespondencya lub spisane wspomnienie, nietykalnie zwróconem zostanie posiadaczom, natychmiast po zużytkowaniu.

Ocena działalności literackiej, pojętej jak najobszerniej, bo z włączeniem nawet drukarstwa, wymagać będzie dla siebie aż jedenastu osobnych kategorii, mianowicie: Powieści, Pisma wierszem liryczne i epickie, Dramata, Filozofia, Dziejopisarstwo, Podróże, Krytyka literacka, Prace z dziedziny artystycznej i archeologii, Publicystyka, Wydawnictwa literackie, Drukarnictwo i edytorstwo. Tu już sił zbiorowych potrzeba, sił licznych i dobrych. Olbrzymia działalność Kraszewskiego (do 1873 r. Estrejcher podaje 180 dzieł oryginalnych) usuwa się nieomal z pod wiedzy i sądu jednego człowieka—jeżeli praca o niej ma być zupełnie ścisłą i wykonaną w czasie stosunkowo tak krótkim, jaki jeszcze do lata jubileuszowego pozostaje.

Najtrudniej będzie zmierzyć się z legionem powieści Kraszewskiego; to też wprowadzono tu, drobiazgowy prawie, ale bardzo zbawienny, podział pracy. Powieść podzielono na obyczajową, ludową i historyczną. Obyczajowa przedstawiona ma być w sześciu okresach od r. 1831—1839, do 1849, do 1855, do 1860, do 1871 i od tej daty aż po ostatnie czasy roku bieżącego 1878. Ocena powieści ludowej zawrze się w jednym opracowaniu. Powieść historyczna wreszcie, rozpadnie się na: cykl dzieł wydawanych przez Spółkę księgarską, dzieła na tle XVI i XVII wieku, dzieła z epoki Sasów, — z epoki Stanisławowskiej i z dziejów Rzymu. Tym sposobem powieść sama zabierze dla siebie dwanaście pojedynczych opracowań. Pisma wierszem, liryczne i epickie, dramata, filozofia, podróże, krytyka literacka, prace z dziedziny artystycznej i archeologicznej, wydawnictwa literackie, nakoniec drukarstwo i edytorstwo zajmą po jednym opracowaniu. Dziejopisarstwo mieć będzie trzy: dzieje Wilna, dzieje Litwy, prace późniejsze (co do których wielka zachodzić będzie trudność); i tyleż publicystyka: *Ateneum wileńskie*, *Gazeta codzienna (polska)*, i inne pisma, oraz współpracownictwo. W ogólnej summie dla działu literackiego otrzymujemy dwadzieścia sześć pojedynczych artykułów.

Dział trzeci wypełnią prace, do których nadsyłania wszyscy są zaproszeni. Każdy, kto ma do powiedzenia coś prawdziwie zajmującego ogół ze stosunków o Kraszewskim, będzie współpracownikiem tego działu, i jedynie tylko względ miejsca może krępować komitet redakcyjny w przyjmowaniu rzeczy istotnej wartości.

Dział czwarty wreszcie obejmie bibliografię. Szczegółów o nim żadnych nie znajdujemy w ogłoszeniach dotychczasowych. Według nas, praca w tym dziale nie powinna być ograniczana do samych tylko druków osobnych; rozpostrzeć ją należy

na to wszystko, cokolwiek Kraszewski napisał w najbardziej chociażby zapomnianej książce zbiorowej lub piśmie peryodycznem. Bibliografia książek i prac w czasopismach poważnych, w zbiorach peryodycznych—dzięki p. Estrejcherowi,—jest już prawie gotową i będzie zupełnie dokładną. Ale za to bibliografia prac zamieszczanych w czasopismach, cała prawie jest jeszcze do zrobienia. Codo pism istniejących, trudności przy dobrej woli, nie będzie żadnych—potrzeba tu tylko poświęcić nieco czasu. Komitet redagujący Książkę zbiorową, powinienby włożyć na wszystkie redakeye pism polskich obowiązek nadesłania spisu prac Kraszewskiego, od samego początku istnienia pisma, aż po koniec 1878 r. Codo pism, które już przestały wychodzić, należałoby zwrócić się do ludzi piszących w ogniskach głównych życia umysłowego, i pomiędzy nimi wyszukać współpracowników. Zadanie tu będzie o wiele trudniejszem, niż w pierwszym oddziale (pism jeszcze istniejących); ale trudność choćby największa—nie jest jeszcze niemożliwością. W każdym razie uważamy za konieczne, aby Książka jubileuszowa objęła bibliografię jaknajpełniejszą. Będzie w tem nietylko rzetelny pożytek, ale i wielka przyjemność dla Jubilata, który o niejednej swej pracy z lat dawniejszych zapomnieć już musiał.

Taką ma być książka jubileuszowa. — Jako pomysł, jest ona prawdziwie jubileuszu godną i nie wątpimy, że i po urzeczywistnieniu się swojem, na wysokości tej wytrwa. W tem miejscu nie możemy jeszcze powstrzymać jednej uwagi, dotyczącej czasu przygotowania książki. Termin do nadsyłania prac zakreślony został do d. 1 Grudnia roku bieżącego; obchód odbyć się ma w połowie roku przyszłego; czas jest krótki: otóż lepiej niech się książka opóźni, jeżeli już inaczej być nie może, niż, gdyby miała być wykonaną pośpiesznie. Cały rok przyszedł, a nawet i połowa 1880 r., jest jubileuszową; niema żadnego *impedimentum dirimens*, któreby nie pozwalało doręczyć Jubilatowi książki w Grudniu raczej niż w Marcu lub Lipcu roku przyszłego. Trzeba się wprawdzie śpieszyć z pracą, ale samą pracę wykonywać bez pośpiechu.

Ścisłe biorąc, rzeczywistym rokiem jubileuszowym, według dotychczasowych wiadomości i wskazówek od samego Jubilata otrzymanych, jest rok 1830. W tym bowiem roku wydrukowany został Klimaszewskiego *Noworocznik litewski na r. 1831*, w którym przyszedł autor *Powieści bez tytułu* i *Dwóch światów* pierwszą swoją drobną, ubożuchną pracę zamieścić. Ale obchód sam może się odbyć w początku roku jubileuszowego, a początek ten przypada właśnie na rok przyszły. Powstaje tylko kwestya: kiedy święcić jubileusz, czy w Marcu na imieniny, czy w Lipcu, na urodziny? (d. 26 Lipca 1812 r.). Komitet redagujący Książkę zbiorową, wyznacza termin lipcowy, i ten właściwszym nam się wydaje — jako pozostawiający więcej czasu do ukończenia wszystkich przygotowań, a nawet i samej Książki zbiorowej.

Kończąc, powiemy jeszcze, że przewidywania nasze ziściły się najzupełniej. Wszyscy księgarze, drukarze i nakładcy *in corpore*, przyjęli na siebie oohoczwo wszelkieżary wydania książki,—tak, iż całkowity wpływ z prenumeraty, oznaczonej na 3 rs. w Warszawie, a rs. 3 kop. 50 na prowincyi, przedstawi się jako czysty dochód dla Kraszewskiego. A koszta wydania wcale nie będą małe: 40 arkuszy ścisłego druku w formacie *Klehd* Wójcickiego w wydaniu z r. 1876, ilustracje miejsce, w których mieszkał Kraszewski; portrety jego samego z kilku epok życia, podobizny rodziców jego i babki: wszystko to niemały fundusz pochłonie. Rzecz zresztą naturalna: robił Kraszewski dla wydawców, robią teraz wydawcy dla niego. Mamy nadzieję, że własny ryłec polski utrwali w doskonałym, umyślnie wykonanym stalorycie, pamięć tych rysów czeigodnych, w których przebija się dusza człowieka, co nietylko pisać, ale i cierpieć umiał.

ROCH MUZYCZNY.

Koncert S. Wincentego a Paulo.—Drugi koncert Leopolda Auera.—P. Alfred Jaël.—Pan Wiktor Każyński.—Państwo Menter-Popper.—Legenda o Ś-tój Elżbiecie, Fr. Liszta.

Uf! już dłużej nie wytrzymam! Tyle muzyki wchłonać w swój organizm, ile biedni reporterzy i sprawozdawcy w ciągu ostatnich dwóch tygodni jej połknąć musieli, to lekarstwo zdolne zachwiać zdrowiem nawet „żelaznego“ człowieka! To też, idąc za radą znajomego eskulapa, uciekłem z Warszawy, aby w ciszy, wobec budzącej się do życia natury, przyprowadzić do równowagi nieszczęsne me jestestwo, zdeorganizowane do najwyższego stopnia nadużyciem muzycznego specyfiku!—Lecz wrócić jeszcze myślą do tych wspomnień, męczących wprawdzie, ale miłych.

W dorocznym koncercie, danym na korzyść Towarzystwa S. Wincentego a Paulo, oprócz znanych już nam talentów, przyjęła udział znakomita amatorka—śpiewaczka, panna baronówna Alexandra von Driesen, której talent z wielu względów zasługuje na osobną wzmiankę. Jakkolwiek amatorka, panna D. posiada jednak zupełnie wyrobioną szkołę, metodę, nieposzlakowaną czystość intonacji i ekspresję, stawiającą ją w rzędzie wyborowych artystek. Toteż śpiew jej—gdy poraz pierwszy dała się słyszeć w bieżącej porze w Towarzystwie Muzycznym—wywołał ze strony publiczności prawdziwą owację.

Drugi koncert p. Leopolda Auera, dany wspólnie z panem Wieniawskim w sali Resursy Obywatelskiej, w nierównie świetniejszym blasku przedstawił nam talent tego znakomitego artysty niż pierwszy. Szlachetna ta gra pełna poetycznych i delikatnych odcieni, większe nierównie sprawia wrażenie bez akompaniamentu orkiestrowego. Ton pana Auera, jakkolwiek prześliczny i okrągły, nie jest bardzo silnym. Przytem artysta lubuje się w efektach kontemplacyjnych, chętnie marzy i myśl zawiesza długo na trzymanych fermatach: wszystko to niezawsze odpowiada planom śmiałym i szerokim, jakich potrzebuje muzyka orkiestrowa. Pan Auer grał znakomicie piękna, a u nas nieznaną, Suite Riessa, która wywarła wielkie wrażenie. Już to pod względem świeżości i piękności repertoaru, pan Auer prawdziwie służyć może za wzór godny naśladowania. Tembardziej się uwydatniła ta okoliczność wobec prawdziwego ubóstwa repertoaru pana Alfreda Jaëlla, znanego zresztą i cenionego fortepianisty dawniejszej szkoły. Pan Jaël już grał w Towarzystwie Muzycznym przed sześcią laty—w bieżącym zaś roku Towarzystwo zamówiło sobie współudział tego artysty—szczerze mówiąc, nie tyle w skutek osobistej jego zasługi (której zresztą zaprzeczać nie myślimy) ile z przyczyny pewnych prywatnych okoliczności, o których żadną miarą jasniej mi się wyrazić nie podobna. Artysta wykonał bardzo pięknie koncert Beethovena; oprócz niego jednak dał nam repertuar prawie ten sam, co przed sześcią laty, bo i tego samego Nokturna i Walca (Op. 64 N. 1) Szopenowskiego i tę samą bluetkę własnej kompozycji, niezbyt godną estrady, i nareszcie, nad program, tę samą transkrypcję z Tannhäusera, słyszaną przed laty.

Smutne—nader smutne pozostawił wrażenie koncert p. Wiktora Każyńskiego, skrzypka. Gdyby nie obowiązek sprawozdawczy, wolelibyśmy o nim zamilczeć. Od lat paru zjawiały się w dziennikach luźne wiadomości o powodzeniach naszego rodaka—ucznia Vieuxtemps'a—w Paryżu. Obecnie p. K., przybywszy do Warszawy w charakterze Komisarza Wystawy Paryskiej, mającego na celu zgromadzenie i przedstawienie światu dzieł naszej swojej Muzy—zyskał powszechną sympatię. Dla czegoż ją zapragnął sobie zniweczyć, wykazując grę bez żadnej szkoły, obok kompozycji pisanych bez żadnego talentu! Krytyka nie może wchodzić tu w szczegóły; obowiązkiem jej tylko, surowym lecz nieubłagany, jest potępić takie lekceważenie estrady koncertowej, świeżo ozdobionej wystąpieniem pana Auera.

Nareszcie przystępujemy do scharakteryzowania zjawiska, które, jak iskra elektryczna wstrząsnęła całą muzyczną Warszawą. Potęga fortepianowej ekzekucji doszła dziś tak wysoko, że nawet między najznakomitszymi mistrzami tego instrumentu, zmuszeni jesteśmy robić klasyfikacje nader subtelne, aby nie ukrzywdzić nikogo i starać się o określenie właściwe, a jednak nie przesadzone, wszelkiego podniosłego stanowiska w sztuce. Pisząc w ciągu dość długiego czasu sprawozdania muzyczne, staraliśmy się o utrzymanie takiej hierarchii, i dlatego czytelnicy raczą sobie przypomnieć z jaką bawochwalczą niemal czcią wspominaliśmy imiona Rubinsztajnow i Tausiga. Obecnie obok tych niebotycznych znakomitości postawić nam należy nowe nazwisko, a mianowicie *Zofii Menter*, małżonki znanego wiolonczellisty Poppera.

Jakkolwiek wysoko stoi pani Essipow, jakkolwiek z bezwzględny jesteśmy dla niej zachwytem, jednakże, nad wszelkie nasze spodziewanie, rażeni zostaliśmy, jak gromem, usłyszawszy nieporównaną grę *Zofii Menter*. Pisząc o śmierci Tausiga, zdawało nam się, że już nigdy w życiu nie podobno jemu nie posłyszemy—tymczasem dziś, o dziwo! w Fantazyi z Don Juana, Liszta, w jego Tarantelli z Niemcy, usłyszeliśmy zmartwychwstałego Tausiga! Taż sama pewność rzutów, taż sama idealna skończoność mechanizmu, taż sama (jeśli nie większa) siła fizyczna—a przytem i poezya i miękkość i różność, kobiecie tylko właściwe, czary! Czy pani Menter *wszystko* to potrafi, co dokazywał Tausig; czy zagra tak samo etiudę terecyową Szopena—o tem jeszcze nie mieliśmy sposobności się przekonać: ale w każdym razie jest to gra genialna, kolosalna, zbliżona do Tausigowskiej, w wielu sztukach zupełnie jej dorównywająca! Siła tej ręki jest prawdziwie żelazna; podobnego *tonu* chyba jeszcześmy nie słyszeli—przynajmniej pod świeżym wrażeniem tak się nam wydaje. A przytem jaki prawdziwy artyzm, jaka skromność w wykonaniu dzieł klasycznych! Jakie pianissima idealne w sonacie Beethovena, w Szopenie!

Pan Popper z powagą i godnością odegrał rolę księcia Alberta, męża królowej. Talent jego szlachetny i wykończony jest prawdziwą ozdobą estrady; kompozycya piękna i udatna: nie jednak dziwnego, że przy blasku takiego słońca on cokolwiek gaśnie. Ach, bo też i cudownie pięknie akompaniuje mężowi pani Menter; takiego zlania się dwóch instrumentów nie słyszeliśmy chyba!

Moglibyśmy przez długich kilka stroniec przeciągać ten dytyramb, lecz nas mrozi i na ziemię sprowadza wspomnienie wysłuchanego w Wielką Srodę słynnego (!) oratorium Liszta: *Ś-ta Elżbieta*. Nie będę się pieścił zbyt długo wspomnieniami, ile, że już kiedyś o tem oratorium pisałem i że mam zamiar wkrótce całą działalność tworczą Liszta obszerniej scharakteryzować; ale wyznać trzeba, że był to wieczór śmiertelnie nudny. Oratorium o Ś-tój Elżbiecie, królowej Węgier, wzięte jest ze znanej historycznej legendy i przedstawia w sześciu obrazach cały życiorys Świętej: jej zaślubiny, wyjazd męża na Wojnę Krzyżową—jej wygnanie z Turyngii przez matkę męża, oraz śmierć w r. 1231. Osnowę muzyczną dzieła stanowi kilka tematów średniowiecznych, za których łaskawe mu dostarczenie sam Liszt w partyturze orkiestrowej dziękuje. Oprócz kilku wybitniejszych ustępów, szczególnie Marsza Krzyżowców i ostatniego chóralu—całość przedstawia się dość sucho; temata głównie rozrabiane są do nieskończoności—ale nie z tą potęgą geniuszu, które myśli cudownie zestawia i organizuje, tylko z dowcipem spekulacyjnego filozofa, który coraz-to nowe kombinacje wynajduje i stawia jedno po drugim bez wyboru i zgrupowania.

Dla tego mimo zajmujących szczegółów instrumentacji słuchacz bardziej się nuży, niż na operze Wagnera; a ponieważ nie nie masz bardziej mądrego, jak nudną rzecz opowiadać, więc skróćmy sobie te smętne chwile i rozstańmy się, wołając: Niech żyje Liszt, ale jako nieporównany, idealny wirtuoz i twórca szkoły, z której wyszli Tausig i Zofia Menter!

Jan Kleczyński.

LISTY Z ZAGRANICY

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Stare płótna, stare dzieje.—Sztuka pierwotna chrześcijańska.—Fra Angelico.—Jego postacie i obrazy.—Ich charakter.—Fra Angelico we Florencji.—Studia nad jego dziełami.—Naśladowania ich.—Kopie i karykatury.—Ilość dzieł mistrza.—Galerya Akademii sztuk pięknych, porównanie dawnych z nowymi. Rafael.—Nie wraca.—Skarby sztuki we Włoszech.—Moda i sztuka. Włochy i Fiaming.—Handel dziełami artystycznymi. Powolność Włochów.—Targ włoski.—Wywożenie dzieł sztuki za granicę.—Falszowane antyki.—Sztuka i sztuczki.—Figle antykarskie.—Nowe dzieło Tissota: *Wiedzi i życie Wiedeń-czyków*.—Ogólny charakter książki: Austrya w bieli.—Niezręczni pochlebcy.—Wrażenie książki.—Treść jej.—Wenecya.—Tryest.—Miramare.—Hrabia Chambord, wizerunek.—Sacher-Masoch.—Obraz Wiednia.—Szkice Tissota.—Dziennikarstwo.—Wiosna nad Arno.—Chłody i wichry.—Galerye i biblioteki.—Zbiory ksiąg we Włoszech.

(Dokończenie).

Potrzeba widzieć gniew i oburzenie zręcznego Włocha, gdy się uczyje zrozumianym lepiej, niżby chciał, i gdy się sztuka nie uda. W ten sam sposób prowadzi się do prywatnych zbiorów, po strychach i t. p. A że jest wielu takich miłośników sztuki, co najmniejszej znajomości nie mają, czasami więc figiel się opłaca.

Lecz dajmy pokój sztuce, a pomówmy o jednej z najnowszych książek, przeznaczonych na to, aby uczyniła—sensację. Skończyłem tyłkoco czytanie pozawczoraj tu dopiero nadeszłego „Wiednia i wiedeńskiego życia“, Tissota. Jestto *contre-partie* tego, co ten sam, nagle usłużony pisarz, wydał o Niemczech Północnych, przedewszystkiem o Prusakach. We Francyi uszczypliwe te podróże miały nadzwyczajne powodzenie: *Podróż do kraju miliardów*, dotąd czterdziści pięć wydań i nie wiem ile miała tłumaczeń; *Prusacy w Niemczech* trzydzieści pięć razy przedrukowani zostali; *Podróż do krajów przyłączonych*—dwadzieścia pięć, a tłumaczenie Scherr'a *Spółczenstwa i obyczajów niemieckich*—dwanaście. Odłożywszy na bok zajęcie, jako obudzało wystąpienie gwałtowne przeciw Niemcom,—wszystkie te dzieła Tissota, którym nie zbywa na francuzkim dowcipie, żywości, na pewnym humorze, weale arcydziełami nazwać się nie mogą. Czuć w nich, że autor naprzód sobie powiedział, iż szukać będzie stron czarnych i znaleźć je musiał, czerpiąc bez wyboru, częstokroć z lekkomyślnością i łatwowiernością prawie dziecinną. O Prusach i Prusakach na seryo możnaby na pozór mniej złośliwie, a daleko ich silniej obarczające napisać dzieło. Ale na to potrzebowały i poważnych studyów i pióra poważniejszego.

Jak w Berlinie i w krajach pod panowaniem pruskim wszystko jest malowane farbą czarną, tak znowu Wiedeń i Wiedeńczycy występują różowo i jasno. *Poëtes et pictoribus omnia licent*, powiedział sobie pan Tissot, i odworowuje stronę jedną, *con amore*, tam, gdzie już niepodobna uniknąć cieniów, łagodząc je i czyniąc wdzięcznymi, pełnymi morbidezdy pół-tonami.

Na złość Prusakom Austriacy postrojeni są w szaty anielskie! W ostatnich podróży Tissota (Do krajów przyłączonych) była moc niezmierna cytat, wyjątków, przytoczeń,—było ich nadto. Tu, niema ich weale. Styl jest wywdzięczony, strojny, przeciążony przymiotnikami, kameryzowany blaskami różnobarwnymi.

W tych ustępach podróży, gdzie Tissot opowiada rzeczy albo doskonale znane, albo nie-miłosiernie skłamane, jak, na przykład, z ust Sacher-Masocha wziętą historję starego Żółkowskiego, najłatwiej nam ocenić niezmierną lekkomyślność w pochwytywaniu anegdot, niezgadujących się z powszechnie znanymi charakterami historycznymi. Podobnych powiastek, umiejętnie przyprawnych, strojnych, wyglądających ładnie, a zupełnie bajecznych—jest w tej książce niezmiernie mnóstwo. Ci nawet, którym Tissot tak kadzi, wątpią bardzo, ażeby z dymów tego trybularza mieli pociechę wielką. Niezręczna napaść składa

się na niechęć, uprzedzenie, potwarz, ale niesmaczna pochwała, przeciw której niepodobna protestować, jest rzeczą w świecie najdotkliwszą. Al! do brzy przyjaciele jak czasem są ciężką plagą. Mówiliśmy już, że Wiedeń występuje tu świetnie. — Jasnym, serdecznym, poczciwym, trochę rozwydrzonym, pijanym trochę życiem, ale pełnym szlachetności. Po zamknięciu książki czyni to wrażenie obrazu społeczeństwa nadzwyczaj sympatycznie dogorywającego na stosie Sardanapala, — nieopatrzego, nieprzygotowanego do walki, wesołego nad przepaścią. Smutne to wesele.

Podróż rozpoczyna autor nasz od Wenecyi, także odmalowanej z wielkim dla niej uwielbieniem. Niema w poświęconym jej rozdziale nie nowego. Zład, wsiadłszy na statek, dostaje się p. Tissot do Tryestu, który naszkicowuje bardzo lekko, bo i pobyt w nim był zbyt krótki, aby coś z niego wyczerpnąć można. Są to zewnętrzne fizyognomie, sylwetki wycięte z elegancją napręde. Idzie więcej o elegancję pewnie niż o prawdę i wierność naturze. Historia cesarza Maxymiliana, opowiedziana żywo i w sposób zajmujący, jest jedną z najpiękniejszych kart podróży. Zboczył potem p. Tissot do cichego ustronia, w którym żyje hrabia Chambord, aby zyskać rozdział jeden, ciekawy i nowy — nowy przez to, że Tissot do legitymistów nie należy.

W przygotowanym zawczasu powitaniu, Tissot, republikanin (rodem Szwajcar), wyraził się z poszanowaniem: „jeśli nie dla króla, to dla człowieka“.

„ — Kocham bardzo kraj wasz rodzinny, odpowiedział hrabia. Kocham Szwajcaryę, mam tak drogich przyjaciół. D'Affry, Diesbachy, Alt'y, Montenach, Gottrau, Boccard, Figely, Maillardoz i wiele innych osób, znanych panu, — służyli mojej rodzinie, krew przelewali za Francję“.

„Hrabia prosił mnie siedzieć; ja nie mogłem się go napatrzeć, nie chciałem wierzyć oczom własnym. Człowiek ten z obliczem tak sympatycznym, tak otwartym, uśmiechającym się, z tem pięknym czołem, z wejrzeniem pełnym słodyczy i głębokości — był tym hrabią Chambord, którego dzienniki legitymistów malują nam pociesznie jak rodzaj Buddy legitymizmu!“

„Oczy szczególnie uderzyły mnie. Piękność i szczerść ich wzroku jest niewypowiedziana. Jestto wejrzenie pewne, śmiałe, które zmierzyło cel, wie gdzie jest i nie go z prostej nie sprowadzi drogi. Takimi oczyma widzi się tylko o słońcu jasnym. Co za śliczny wzrok uczciwego człowieka!“

„Książę Bordeaux nosi brodę całą, podstrzyżoną à la Henri IV, na wzór pradziadka, do którego z wielu względów jest podobny. Nos ma charakter plemienia; głos brzmi jak muzyka; dowcip gallijski kipi na ustach, które pszczoły Francyi miodem swym wykarmiły. Wzrost ma średni, trochę jest pełny w sobie, zdrów i silny“...

Tissot długo jeszcze pisze o wymowie, o stylu listów, o przymiotach hrabiego Chambord, które w rozmowie trwającej minut dwadzieścia — stały się dlań jawnymi. Naostatek zapewnia, że hrabia ma głos śliczny i że z Rogerem śpiewał raz *Córke Regimentu*. Gdy przyszli do: *O France, o ma patrie*, zabrakło głosu, łzy pociekły. W następnym rozdziale ustęp o — komissantce, częstującej próbami wina szampańsko-berlińskiego, niekoniecznie delikatnością barw się odznacza. Apologia Sacher-Masocha, opis jego domu, anegdota, które opowiada sławny powieściopisarz, — należą do najniebezpieczniejszych epizodów podróży. Nareszcie, przepłynąwszy przez jakieś podanie alpejskie przyprawne po francuzku, przybywamy do — Wiednia. Cała część druga poświęcona jest odmalowaniu wesołej nadnaujskiej stolicy. Znalazła się tu, naturalnie, i historia Kuleczyckiego, ubrana z fantazją Tissotowi właściwą, który z podaniami i dziejami zbytnich nie robi sobie ceremonij.

W dwóch dosyć rozciągniętych rozdziałach jest ogólny pogląd na miasto, ulice, kościoły — przeplatany historyjkami; idą potem: Giełda, Parlament, ogrody publiczne, Ring, muzeum austriackie, dzienniki i dziennikarze, — jeden z najlepszych artykułów, w którym nawet jest trochę prawdy; potem ulice, typy, loszki i kawiarnie, historia pnia w żelazie, widok na Austryę z wieży S. Stefana, wojsko, Burg, groby cesarskie, cesarz i dwór, niedziela

w Wiedniu, teatry, Opera i kawiarnie ze śpiewakami, więzienia, opis wieszania winowajcy, życie i obyczaje i t. d.

Zamknąwszy książkę, prawie do pięciuset stron liczącą, która się czyta łatwo, mamy w oczach wielką pstroczoną barwę; lecz kto Wiednia nie zna, nie nauczy się z niej więcej nad to, że Wiedeń jest wesoły hulaka i że w nim nie wszystkie więzienia są dobrze utrzymane. Nadzwyczaj pobieżnie autor ślizga się po powierzchniach nietylko przedmiotów dotykanych, ale po wnioskach, jakieby z badania ich głębszego wyciągnąć należało. Uwydatnia się wszystko, co na korzyść obróconem być może. Zdaje się, że Tissot musiał uczuć uczynione mu zarzuty pism berlińskich codo zaniedbanego stylu i zbyt mnogich pożyczek z dzieł różnych; tu staranie o styl niekiedy jest aż do przesady posunięte i w manieryzm przechodzi. Szczególniej wizerunki kobiet są do zbytku kolorowane.

Dziennikarstwo wiedeńskie możeby inaczej zostało odmalowane, gdyby nie materyał dostarczony przez Wuttkego, którego dzieło, jak wiadomo, przełożono na język francuzki. Nie szcędzono owej prassy rewolwerowej, która zakałę europejskiemu dziennikarstwu czyniła, lecz brak tu jeszcze wiele do pełnego obrazu dziejów dziennikarstwa przedkrachowych! Codo ogłoszeń i użytku, jaki się z nich czyni, nie jest on Austrii samej właściwością; podobne odezwy młodzieńców, ofiarujących się za lektorów osobom podżyłym, i panienek, szukających opiekuna szpakowaciejącego, w Niemczech Północnych są równie zwyczajne jak w Austrii. Są to znamiona wieku, symptomata choroby ogólnej, tak jak samobójstwa pojedynczo i parami.

Wątpimy bardzo, ażeby „Wiedeń“ doczekał się czterdziestu wydań i tłumaczeń wielu. Książka jednak doszła tu do Włoch już w szóstej edycji.

Cóż więcej napisać z tych brzegów Arno, od dni kilku wezbranego potokami z gór i szumiącego pod oknami memi — nieznośnie? Wszyscy ci, co tu wiosny wczesnej nie szukali, pocieszyć się mogą, bo, chociaż się kilkakrotnie obiecywała, dotąd nie przyszła, a zimno i wicher może waleczyć z naszymi kwietniowymi zawieruchami. Ludzie chodzą poobwiązani, smutni, na zapytania o pogodę potrzyskując głowami i zapewniając, że się to zmieni wkrótce na — skwar nieznośny.

Nielepiej podobno było w Mentone, w Pizie, a nawet w Neapolu — kilka tylko burz z piorunami i gradem miano dla rozmaitości.

Lud tutejszy, nieskończenie wytrzymałszy od nas, ludzi półnoocy, na te przejmujące chłody nie zważa. Okna stoją otworem, drzwi także; nie pali nikt oprócz cudzoziemców; kobiety chodzą lekko odziane. *Brasero*, owe ładne koszyczki gliniane, w których noszono węgiel dla rozgrzewania rąk, znikły przez poszanowanie dla kalendarza, — lecz niejedną tęskni za nimi.

Najgorszem ze wszystkiego to, że w galeryach, ile ich jest, przejmujący chłód wśród zamkniętych murów panuje, nie są bowiem ogrzewane. Ci, co chcą cieplejszego kąta, spieszą do wielkiej biblioteki (*nazionale*), w której zato bardzo przyjemna panuje temperatura. Spędzić tu można godzin kilka (do trzeciej) bardzo zacisznie, miło — nad jakąś starą książką, którą uprzejmi bibliotekarze na zażądanie przynoszą. Biblioteka do poważnych studyów, szczególnie włoskich, jest obficie zaopatrzona i urządzona tak, że w niej wszystko z łatwością znaleźć można.

Kilka innych bibliotek starych jest również otwartych w pewnych dniach i godzinach. Bogactwa rękopismów, inkunabułów, rzadkości — nieprzeliczone. Wieki ubiegłe zostawiły tu po sobie spuściznę ogromną, która nawet dotąd zliczoną i zregestrowaną nie została. Jeżeli w Stanach Zjednoczonych Ameryki w bibliotekach publicznych liczą dziś 13,000,000 ksiąg, jesteśmy pewni, że podwójna cyfra nie starczy na wszystkie zbiory włoskie. Mają je najmniejsze miasteczka, tak jak każde z nich ma małe muzeum miejscowych malarzy i archeologiczną wystawę. Cóż dopiero powiedzieć o prywatnych kolekcjach mogących nieraz waleczyć z publicznymi? Wojny, rozruchy, pożary, zostawiły jeszcze naszemu wiekowi tyle, iż gdyby

się chciał tem zajmować, nie mógłby sam pisać nic. A nie wiem: czybyśmy na tem wiele stracili?

HISTORIA ZBRODNI

T O M II.

DZIEŃ CZWARTY.

Zwycięstwo.

(Dalszy ciąg).

Kobieta łkała w milezieniu.

E. P. który tu był domownikiem, dotknął jej ramienia i rzekł:

— Pokażcie!

Kobieta podniosła głowę, a ja ujrzałem na jej kolanach małego chłopczyka, bladego, na pół rozebranego, ładnego, z dwiema czerwonymi dziurami w czole.

Stara kobieta popatrzała na mnie, ale oczywiście nie widziała mnie bynajmniej; zamruczała, mówiąc do samej siebie:

— I powiedzieć, że dziś rano jeszcze, mówił mi: dobra babuni!

E. P. chwycił rękę dziecka, ręka ta obwisła.

— Siedm lat — rzekł.

Miska stała na ziemi. Umyto twarz dziecka: dwa sznurki krwi, lały się z dwóch otworów w czole.

W głębi pokoju, w bliskości szafy napół otwartej, gdzie widać było bieliznę, stała wyprostowana kobieta lat czterdziestu, — poważna, uboga, dosyć piękna.

— Sąsiadka — rzekł do mnie E. P.

Wytlómaczył mi, że mieszka w domu lekarza, że ten lekarz zszedł na dół i powiedział: Niema tu co robić. Dziecko zabito dwiema kulami w chwili, gdy przebiegało ulicę „ażeby się schronić“. Przynieziono je babce, „która tylko jego jednego miała“.

Portret zmarłej matki wisiał nad małym łóżkiem.

Dziecko miało oczy na pół otwarte i to niedające się wyrazić spojrzenie umarłych, których pojęcia o rzeczywistości, zastąpione nagle zostały wizją nieskończoności. Babka wśród łkań mówiła chwilami: „Czyż to podobna, o Boże! — Zbójcy, zbójcy!“

Pomogliśmy w rozebraniu dziecka. Miał baka w kieszeni. Główka jego kołysała się z jednego ramienia na drugie; podtrzymałem ją i pocałowałem w czoło; Versigny i Bancel, zdjęli dziecku ponczoszki.

Babka nagle zrobiła ruch.

— Nie urażcie go! — wołała.

Wzięła dwie jego nóżki schłodłe i białe w swoje stare ręce, usiłując je rozgrzać.

Kiedy biedne ciało było już nagie, pomysleliśmy o pogrzebie.

Wyjęto z szafy płótno.

Wtedy babka wybuchła straszliwym płaczem.

Wołała: Ja chcę, żeby mi go oddali!

Wyprostowała się, popatrzała na nas i zaczęła mówić rzeczy dzikie, w których razem połączyła: Bonapartego, Boga, i swego malca, i szkołę, do której chodził, i swoją córkę, którą utraciła — i do nas zwróciła się z wyrzutami — trupio-blada, obłąkana, mając obłęd w oczach, wyglądając na widmo, więcej od zabitego dziecka.

Potem porwała główkę jego w swe ręce, skrzyżowała swe ramiona nad dzieckiem i narowo łkać zaczęła.

Kobieta stojąca obok, przybliżyła się do mnie i nie mówiąc ani słowa, otarła mi usta chustką. Miałem krew na wargach.

Co czynić, niestety! Wyszliśmy zgnębieni.

Była już noc zupełna. Bancel i Versigny pożegnali się ze mną.

* * *

Powróciłem do mojego schroniska na ulicy Richelieu pod N. 19.

Rzeń zdawała się ukończoną — nie słyszano już strzelania.

W chwili gdy miał zapukać do drzwi N. 19, zawałałem się; jakiś człowiek stał tuż i zdawał się czekać. Szedłem wprost na niego.

— Pan czekasz na kogoś?

— Tak.

— Na kogo?

— Na pana.

I dodał, zniżając głos:

— Przyszedłem, ażeby z panem pomówić.

Spojrzałem na niego. Oświecał go rewerber, a on nie unikał światła.

Był to młody człowiek z brodą jasną, w bluzie niebieskiej, mający minę myśliciela, a ręce dzielne robotnika.

— Kto jesteś? — zapytałem.

Odrzekł: Jestem ze stowarzyszenia robiących formy na obuwie. Znam cię dobrze, obywatelu, Wiktorze Hugo.

— Od kogo przychodzisz?

Odrzekł zawsze po cichu:

— Od obywatela Kinga.

— Dobrze — odparłem.

Podał mi wtedy swoje nazwisko. Ponieważ przeżył te wypadki i unikał denuncyacji, więc łatwo zrozumieć dlaczego go tu nie umieszczamy (1).

— Cóż mi masz do powiedzenia? — spytałem.

Wytlómaczył mi, że nie jeszcze niema straconego, że on i jego przyjaciele dalej się będą opierali, że miejsca zejścia się stowarzyszeń, nie są jeszcze oznaczone, ale będą oznaczone wieczorem, że mojej obecności się domagają i że jeśli chcę być wieczorem o dziewiątej godzinie przed arkadą Colbert, to on wraz z innym, czekać tam będą i poprowadzą mnie.

Umówiliśmy się też, że dla wzajemnego rozpoznania, zapytają mnie: Co robi Józef?

Niewiem czy mu się zdawało, że się waham, bo nagle przerwał i rzekł:

— Możesz mi pan wreszcie nie wierzyć: — i słusznie, gdyż powinienem być mieć co na piśmie. W takiej chwili jak ta, można nie ufać każdemu.

— Przeciwnie — odrzekłem — ufa się każdemu. Będę o godzinie dziewiątej przed arkadą Colbert.

I opuściłem go.

Czułem się znużonym i głodnym — posiłem się czekoladą i kawałkiem chleba — upadłem na fotel, a, jedząc, usnąłem.

Bywają sny czarne. Miałem sen taki, pełen wizyj; widziałem dziecko zmarłe i dwie dziury czerwone w czole, które były ustami. Jedna mówiła: *Morny*, a druga *Saint-Arnaud*. Lecz skracam.

Nagle obudziłem się. Gdyby tylko nie było już po dziewiątej! Zapomniałem nakręcić zegarka. Stał. Wyszedłem szybko. Ulica była pusta, sklepy zamknięte. Na placu Louvois posłyszałem bijącą godzinę. — Naliczyłem dziewięć uderzeń. W dwóch susach byłem przy arkadzie Colbert.

Popatrzałem w ciemności. Nikogo przed arkadą. Zrozumiałem, że niepodobna tutaj czekać na kogobądź; znajdował się bowiem obok arkady Colbert posterunek policyjny, a patrolę ciągle przechodziły.

Zagłębiłem się w ulicę; nie ujrzałem nikogo; doszedłem aż do ulicy Vivienne.

Na rogu ulicy Vivienne, człowiek jakiś stanął przed afiszem, usiłując go podrzeć albo odlepić. Zbliżyłem się do tego człowieka, który mnie prawdopodobnie wziął za agenta policyi, i uciekł co tchu. Wróciłem się znowu.

Okolo arkady Colbert i kiedym dochodził do

miejsca, w którym rozlepiają afisze teatralne, robotnik jakiś przesunął się koło mnie, rzekłszy nagle: „Co robi Józef?“

Poznałem Galvy'ego.

— Chodź pan — rzekł.

Puściliśmy się w drogę, niemówiąc do siebie i udając, że się nie znamy.

On szedł przedemną w pewnej odległości.

W dwóch domach — żadnej wiadomości. Nikt jeszcze nie przybył ze strony stowarzyszeń.

Chodźmy w trzecie miejsce — rzekł Galvy — i wytlómaczył mi, że naznaczyli sobie schadzki w trzech miejscach na przypadek, gdyby policja wytropiła jedno lub drugie.

Byliśmy właśnie na przedmieściu des Halles. Walka trwała tu przez cały dzień. Latarnie już się nie świeciły. Zatrzymaliśmy się od czasu do czasu, nad słuchując z obawy, ażeby nie wpaść w ręce patrolu.

Nie chcemy tu wyraz za wyrazem, powtarzać całej tej wędrówki autora z owym robotnikiem — wędrówki dosyć zresztą w takich razach zwyczajnej — dosyć, że doszli do jakiejś barykady, na której się już toczyła walka, a potem weszli do sali ciemnej, zaledwo od blaskiem z drzwi napół otwartych, oświeconej. „Słychać w niej było harczenie krótkie, zdające się pochodzić z sąsiedniej izby, z tej samej strony co światło. Galvy podsunął się szybko ku drzwiom, napół otwartym. Przeszliśmy salę i weszliśmy do komory oświeconej kagańcem. Rusztowanie tylko zamknięte z desek, oddzielało nas od barykady.

W kącie, stały narzędzia murarskie, drabina i t. p. Obok stół, zastawiony różnemi flaszkami aptecznymi, przy nim siedziała stara kobieta z małą dziewczyną. Kosz pełen starej bielizny przed nimi — one skubały szarpie. W głębi trzy sienniki — ztamtąd pochodziło harczenie. Był to ambulans.

Stara kobieta, ujrawszy nas, drgnęła z przestachu, poczem prawdopodobnie uspokojona błazą robotnika, podeszła ku nam.

Robotnik szepnął jej coś do ucha, na co ona: Nie widziałam nikogo.

Poczem dodała: Lecz co mnie niepokoi, to, że mąż mój nie wrócił jeszcze, a cały wieczór nic tylko strzelano.

Dwóch ludzi leżało na siennikach, na trzeciego siennik czekał.

Ranny, najbliższy mnie leżący, otrzymał kulę w brzuch. To on harczał. Stara kobieta, zbliżywszy się do siennika z kagańcem, rzekła: Gdybyście widzieli dziurę, jaką tu kula zrobiła! Cośmy mu tam wpakowali szarpie! A nie ma więcej biedactwo jak 25 lat — jutro rano umrze.

Drugi był jeszcze młodszy, miał lat 18. — Ma ładny tużurek — rzekła stara — musi to być student.

Otrzymał kulę w dolną szczękę. Trawiła go gorączka i patrzył na nas zaiskrzonymi oczyma.

Zdawało mi się — mówił W. Hugo — że mnie ten młodzieniec zna, — istotnie znał mnie.

Towarzysz mój wyszedł dowiedzieć się co się dzieje z barykadami, których miało być 10 zamiast dwóch.

Obiecałem czekać, choćby noc całą.

Stara kobieta zasiadła obok dziewczynki, która zdawała się nie rozumieć o co chodzi.

Biadała: — Mój mąż nie powrócił — mój biedny mąż nie powrócił, żeby mu się tylko co nie stało! I wzdychając ciężko i wykrzykując, płakała. Nie mogłem bez dreszczu myśleć o starcu, któregośmy widzieli, idąc tu — o kilka kroków rozciągniętego na bruku.

Rzuciłem okiem na dziennik leżący na stole, na którym kłwawa ręka — rannego zapewne, wycisnęła swoje piętno. Oczy moje — dodaje W. Hugo, niezapominający nigdy o sobie — padły na te wyrazy:

„P. Wiktor Hugo wydał manifest zachęcający do rabunku i morderstwa“.

W tych to słowach określał pałac Elizejski proklamacyją moją podyktowaną Baudinowi, wydrukowaną w części I-szej tej książki.

Wszedł jeden z obrońców barykady i napił się cheiwie wódki, stojącej w karafce na stole.

Nagle posłyszeliśmy kilka detonacyj następujących po sobie, i, jak się zdawało, odległych.

Głos spokojny i poważny drugiego robotnika na barykadzie — bo ich tylko dwóch było — odezwał się zzewnątrz: Zaczyna się.

— Mam czas skończyć swój chleb? zapytał drugi, ten, co przy nas pił wódkę.

— Masz — odrzekł tamten...

Strzelanie powtarzało się i zdawało się zbliżać. Zrobił się hałas w sklepie.

Galvy wracał. Ukazał się na progu ambulansu. Był błądy.

— Oto jestem — rzekł do mnie — przychodzę po pana. Trzeba wrócić do siebie. Wychodźmy natychmiast.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytałem — a oni czy nie przyjdą wcale?

— Nie — odpowiedział — nikt nie przyjdzie. Rzecz cała skończona“.

(Tu mimowoli przychodzi nam uwaga, co za rolę chciał W. Hugo odgrywać w tej chwili — skoro nawet fuzyi przyjąć nie chciał, ażeby strzelać tak jak inni? Czy sądzi, że jest tak samo wodzem doskonałym jak i politykiem i mężem stanu? Prawdziwie, sądząc z własnych tylko słów jego — potrzeba by powiedzieć poprostu, że szukał guza niepotrzebnie, a teraz deklamuje na ton zbyt bohatersko nastrojony. Ale słuchajmy dalej).

„Wytlómaczył mi (ów Galvy) szybko, że przebiegł całe *quartier*, ażeby znaleźć strzelbę, ale nardarmo, że mówił do „dwóch lub trzech“, lecz, że mu powiedzieli, iż stowarzyszeni nie przyjdą, bo wypadki poprzedzające przeraziły najzapaleńszych, że bulwary pełne są trupów; że wojsko popeniło okrucieństwa, że barykadę zaraz zaatakują i że nic nam nie pozostaje tylko się wynieść, bo dom ten został „głupio wybrany“, gdyż nie ma wyjścia z tyłu i że już teraz może trudno nam będzie się wydostać.

Wszystko to mówił tonem urywanym, przerywanym co chwila słowami: „I nawet nie mieć fuzyi“! (Pytanie, na coby się — ta jedna przydała?).

Zaledwo skończył, usłyszeliśmy odzew z barykady: Baczność! I w tej chwili padł ztamtąd strzał.

Gwałtowna strzelanina odpowiedziała na to. Kilka kul uderzyło nazewnątrz ambulansu.

— Już niema czasu — rzekł spokojnie Galvy — atakują barykadę.

Wziął stołek i usiadł. Dwaj owi robotnicy z barykady byli widocznie doskonałymi strzelcami. Dwa ognie plutonowe były raz po raz w barykadę, barykada odpowiadała żywo. Potem ogień uciekł. Zrobiło się milczenie.

— Oho! idą na bagnety! — zawołał głos z barykady.

A drugi głos dodał: Uciekajmy. Strzelili poraz ostatni. Potem jakieś wstrząśnienie zachwiało naszą ścianą z desek. Pochodziło ono ztąd, że jeden z tych robotników, odchodząc, rzucił precz swoją strzelbę, a ta, spadając, uderzyła o ścianę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 16-ty powieści pod tytułem: *Zamek Daly*.

(1) Nazywał się: Galvy.

TREŚĆ. Pogawędka. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Jeszcze o książce zbiorowej dla Kraszewskiego, przez S. K. — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Listy z zagranicy, (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego. — Historia zbrodni, W. Hugo, przełożył Edward Lubowski.